

Wspólnota biernie współczujących

Przed chwilą modliliśmy się do Boga Ojca słowami modlitwy „Ojcze nasz” i to spowodowało, że zmieniłam trochę kolejność swoich przemyśleń. W tym, czym dzisiaj chciałabym się podzielić mogą zabrzmieć pewne nuty usprawiedliwienia, przed samą sobą i przed ludźmi. Wytłumaczenia nie tyle z lęku, co może z tego, do czego zachęca nas św. Paweł, że byśmy byli zawsze gotowi do wyjaśnienia sensu naszej wiary. Ponieważ zbliża się wizyta Ojca Świętego, to warto może żebyśmy jeszcze raz wczytali się w to, co ten stary człowiek usiłuje nam przekazać od wielu lat i co pozostaje i pozostanie w jakimś sensie jego testamentem. I oby ten testament był wprowadzany przez nas w życie. Usiłując odczytywać Ewangelię na współczesne czasy, Ojciec Święty pisze m.in.: „Chrześcijanin, który posłuszny słowu Zbawiciela odmawia codzienną modlitwę, jakiej On sam nas nauczył, zanoszą do Boga Ojca prośbę o chleb”. Używając liczby mnogiej: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”, wie dobrze, że nie powinien zamykać się w egoistycznej wizji wyłącznie własnego dobrobytu. Boski Mistrz nauczył go troszczyć się także o potrzeby innych. Jego modlitwa stanie się zatem wiarygodna, jeśli skłoni go do szczerych gestów konkretnej solidarności”. Jest to list napisany do przewodniczącego FAO, Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa.

Dostaję różne listy. Ostatnio taki list przyszedł, zresztą z tej samej wsi, w której mieszkam. List został napisany ręką chłopca, ucznia gimnazjum: „Moje rodzice są bezrobotni, jest nas troje, jesteśmy głodni. Siostró pomóż”. Dostaję telefon z Warszawy od siostry ze zgromadzenia kontemplacyjnego: „Siostró, znowu przyszła jakaś bezdomna, czy mogę ją do was skierować?”. Przychodzi kapłan, proboszcz, w dużym mieście, w Farze i mówi: „Mam u siebie ucznia bardzo zdolnego z Ukrainy, który robi w tym roku maturę i chciałby pójść na studia. Czy siostra może go wpisać na listę siostry stypendystów?”. I wiecie, co mi się wtedy robi? Nóż mi się w kieszeni otwiera, dlatego, że siostra Małgorzata Chmielewska naprawdę nie

jest Panem Bogiem. I wikary czy proboszcz Fary są w stanie podzielić się sumą 150 złotych miesięcznie, bo tyle wynosi wysokość naszych stypendiów. I nóż mi się w kieszce otwiera nie dlatego, że on jest zły i niedobry, bo to nie moją rzeczą jest oceniać, ale dlatego, że on traci nieprawdopodobną szansę i daje tę szansę mnie. A ja nie jestem nieuczciwa i nie chcę zabierać komuś szansy życiowej. Podobnie jest z siostrą, zresztą bardzo miłą ze zgromadzenia kontemplacyjnego z Warszawy, która mówi, że ma pokój gościnny i musi go zwolnić dla gości, a w tej chwili nocują bezdomną. Była dwunasta i ona by do nas nie dotarła. To jeszcze i tak dobrze, że ją przenocowały. Ma pokój gościnny, który musi zwolnić dla gości, wobec tego musi usunąć stamtąd bezdomną dziewczynę. Fantastyczne. Mieszkam na wsi, koło Ostrowca Świętokrzyskiego, gdzie realne bezrobocie wynosi 30%. W żadnej wokół mnie parafii nie ma żadnego zespołu charytatywnego. To w ogóle nie mieści się w głowie nikomu, ani wiernym, ani kapłanom tam pracującym. Po prostu nie ma.

Jak daleko jesteśmy w Kościele od tego, czego nas Kościół naucza? Jest taki tekst autorstwa Jana Pawła II, który został skierowany na zakończenie synodu biskupów ds. świeckich. Jest to tekst, który kiedyś, szereg lat temu odkrył ktoś z naszej wspólnoty i można powiedzieć, że jest to dla nas tekst sztandarowy. Nasza intuicja, intuicja założycieli mojej wspólnoty szła w tym kierunku. Była to intuicja oczywiście oparta na nauce Kościoła, a przede wszystkim na Ewangelii. Natomiast nie znajdowała jakiegoś punktu zaczepienia w nauce Kościoła w czasach współczesnych. Zaczęliśmy szukać i oto, co znaleźliśmy: „Człowiek, choć powołany do radości w swoim codziennym życiu doświadcza cierpienia i bólu w najrozmaitszych formach”. Do mężczyzn i kobiet dotkniętych rozmaitego rodzaju cierpieniem i bólem ojcowie synodalni skierowali w swoim orędziu następujące słowa (prawie 20 lat temu): „Wy wszyscy, opuszczeni i zepchnięci na margines naszego konsumpcyjnego społeczeństwa, chorzy, ułomni, ubodzy, głodni, emigranci, uchodźcy i więźniowie, bezrobotni, starcy, dzieci opuszczone i osoby samotne, wy, ofiary wojny i wszelkiego rodzaju przemocy rodzącej się w naszym zezwalającym na wszystko społeczeństwie, Kościół uczestniczy w waszym cierpieniu prowadzącym do Pana, który włącza was w swoją odkupieńczą mękę i pozwala wam żyć w świetle swojego zmartwychwstania. Kościół uczestniczy w waszym cierpieniu prowadzącym do Pana. Liczymy na wasze świadectwa, aby uczyć świat czym jest miłość. Zrobimy wszystko, co jest w naszej mocy, abyście znaleźli należne wam miejsce w Kościele i społeczeństwie.” Liczymy na wasze świadectwa. To dlaczego tutaj nie stoi ktoś inny, nie siostra Małgorzata Chmielewska, jak tutaj już padło magister biologii, która jeszcze jako tako się ma, a przynajmniej ma dwie ręce do roboty i resztkę rozumu i z głodu może tak prędko nie zginie. Tu powinien stać ktoś tak naprawdę inny.

Chciałam zrobić pewną rzecz. Chciałam przywieźć tutaj ze sobą swojego przybranego upośledzonego syna Artura, żeby on tu stanął i powiedział do państwa jedno tylko słowo: „Jam cię Kocham”. Nic więcej. Bo on tak naprawdę niewiele więcej potrafi powiedzieć. Niestety tej nocy miał ataki padaczki i nie udało się go tutaj przywieźć. Liczymy na wasze świadectwa. To znaczy my mamy się uczyć od ludzi ubogich tego, czym jest miłość. To nie my idziemy do nich z rękoma pełnymi darów. Wtedy, kiedy nam się nie chce, to nie idziemy. Wtedy, kiedy nam się chce, to idziemy. I jeszcze mamy o sobie bardzo wysokie mniemanie, jacy to jesteśmy dobrzy, że dajemy to, co nam skapuje. Bo jeżeli wydajemy posiłki ubogim, to zasiadamy jednocześnie w tym samym czasie, wydzielając dyżurnego do karmienia ubogich, przy stole, przy którym jemy zupełnie co innego. Jeżeli oddajemy ubogim cokolwiek, to bardzo rzadko oddajemy to, co dla nas jest najważniejsze. Czy to, czego brak spowoduje, że sami w pewnym momencie naszego życia poczujemy zagrożenie i niepewność o jutrzejszy dzień?

Dzielić życie z ludźmi ubogimi, to przede wszystkim żyć tak jak oni. I o tym również mówi w swoich pismach Ojciec Święty. Żyć tak jak oni to znaczy doświadczać codziennej udręki, poczucia zagrożenia, poniżenia, zepchnięcia na margines, i to nie po to, żeby się samemu udręczać. Kiedy przychodzi do mnie młody człowiek i mówi, że on zamieszka z bezdomnymi w kanałach to ja mu się pukam w głowę. To nie o to chodzi. Chodzi o to, żeby żyć z nimi i powoli, ucząc się od nich miłości, razem z nimi wyjść ku światu. To wymaga wielkiego wysiłku, samozaparcia, ale czy nie tylko w takim wypadku rzeczywiście spotkamy Chrystusa? Czy nie żyjemy w schizofrenii? Czy nasze święta i uroczystości, sławna historia pierwszych komunii, nie są po prostu bałwochwalstwem? Czy są one rzeczywiście radością ze spotkania Chrystusa? Kiedy nasze dzieci nauczymy dzielić się z innymi? Co my przekazujemy młodym ludziom? Jakiego Chrystusa im pokazujemy? Czy Ewangelia bez spotkania Chrystusa w twarzy ubogiego, jest Ewangelią prawdy? Sam Chrystus mówi, że nie, i Ojciec Święty mówi, że nie. Wręcz przeciwnie. Ale my w jakimś sensie pokazujemy drogę, choć mam nadzieję, że młode pokolenie, dzięki Światłu Ducha tę drogę odnajdzie nawet jeśli, pokażemy im drogę fałszywą. Mam nadzieję, że Duch Święty, który nie zasnął, prowadzi nadal Kościół, otworzy oczy, młodym ludziom na to, czym naprawdę jest Chrystus i gdzie Go szukać. Bo kiedy się szuka w młodym wieku, to człowiek przede wszystkim chce wiedzieć, kogo szukać i gdzie szukać.

Chrystus mówi do dwóch uczniów, którzy poszli za Nim po słowach Chrzcziciela „Oto Baranek Boży”: „Czego szukacie?” Zapytali go: „Gdzie mieszkasz?” i poszli za Nim. Wiemy o tym, że poszli za Nim do końca i to wcale nie tam, gdzie chcieliby i spodziewali się pójść.

Poszli za Nim do tłumów, trochę śmierdzących, na pewno głodnych, wcale niemiłych, rozrzeszczanych, do prostytutek, do marginesu, do trędowatych, a potem pod krzyż. I ktoś mi może powiedzieć: Ja nie wybrałem takiej drogi jak siostra, i nie mam zamiaru być Matką Teresą z Kalkuty. Szczerze mówiąc: ja też nie. Również dla rodzin, Ojciec Święty daje prezent, mianowicie pisze w ten sposób: „W ten sposób rodzina chrześcijańska jest powołana do złożenia wobec wszystkich świadectwa wielkodusznego i bezinteresownego oddania się problemom społecznym poprzez stawianie na pierwszym miejscu ubogich i zepchniętych na margines. Naśladując przeto Chrystusa w szczególnym umiłowaniu wszystkich ubogich, musi ona specjalnie wziąć sobie do serca los ludzi głodnych, biednych, starych, narkomanów i pozbawionych rodziny”. Oczywiście do wszystkich stanów tutaj mam takie zestawienie.

Myszę, że Kościół Polski jest na etapie wychodzenia z tego stanu schizofrenii. Zaczynamy zdawać sobie sprawę z tego, że religijność, to jeszcze nie jest chrześcijaństwo. Religijność to jeszcze nie jest pełna wiara. Tylko pytanie, czy starczy nam odwagi, żeby spojrzeć w twarz społecznym problemom, żeby spojrzeć w twarz ludziom, którzy są dookoła nas, żeby ciągle nie mówić, że to oni są za to odpowiedzialni. Gdzie są nasze reakcje i nasza opozycja wobec tego, co się dzisiaj dzieje? W tym kraju ludzie nie mają co jeść, dzieci są głodne, dzieci są na ulicy, domów samotnej matki jest tyle, że można je na policzyć palcach, brakuje w nich stale miejsc i tam matki trzymane są do trzeciego miesiąca życia niemowlęcia, a potem nic. Kto w tym kraju wynajmie mieszkanie matce z dzieckiem, kto da jej pracę. I jakie mamy prawo moralne wyjść, wykrzykiwać, że przerwanie ciąży jest grzechem? Jest grzechem, ja się z tym zgadzam absolutnie. Za tym jednak nie idą nasze czyny, żeby rzeczywiście i konkretnie ratować życie, nie tylko do momentu narodzenia, ale także i potem. Czy jesteśmy w stanie zmienić naszą mentalność i nasz konsumpcyjny styl życia, bo w tym kraju, który jest niewątpliwie dużo biedniejszym, niż kraje Europy Zachodniej czy Stany Zjednoczone, nasz styl życia wymaga przemyślenia. Czy jest on rzeczywiście ewangeliczny? Czy rzeczywiście ogromne budynki kościelne, do których dostać się można wyłącznie po zadzwonieniu przez domofon, nie stwarzają tej bariery, w której człowiek ubogi stoi na wycieraczce albo na niej leży? Taka jest prawda. Dlaczego mamy odwagę i śmiałość krzyżeć, że rząd powinien zająć się bezdomnymi? A tyle jest pustych domów parafialnych. Zmienić sposób myślenia, to nie dotyczy niewiedomo kogo, to nie dotyczy premiera, ministra pracy i polityki socjalnej.

Pytanie: Czy starczy nam odwagi do wspólnej refleksji w Polskim Kościele, czym powinien być Kościół? Gdzie jest ten ubogi, a zatem gdzie jest Chrystus? Fakt, że Chrystus identyfikuje się z człowiekiem ubogim, jest faktem rewolucyjnym i faktem, który do dzisiaj przez dwa tysiące lat nie jest w stanie dotrzeć do naszej chrześcijańskiej świadomości. Dlate-

go, że w każdym z nas jest pycha i rządza władzy, w każdym z nas jest chęć poczucia własnej wartości, dominacji, bycia lepszym. Gdzie jest ten ubogi w Kościele? Czy zasiada rzeczywiście w pierwszym rzędzie, w zwykłym kościele parafialnym? Zdecydowanie nie. Bardzo często tenże ubogi w swoim stroju wstydzi się przekroczyć próg Kościoła. Taka jest rzeczywistość. Bardzo często biedne dzieci w czasie pierwszej komunii stoją z tyłu, bo mają tenisówki, a nie buty. Jedna z matek w moim domu, ofiara przemocy, która ma na wychowaniu syna z zespołem Downa i córkę, starszą już, piętnastoletnią, powiedziała mi niedawno: „Syn przystępuje do pierwszej komunii, ja dostałam pracę za trzysta złotych miesięcznie, sprzątanie dwa razy w tygodniu, odebrano mi w tej chwili zasiłek z tytułu opieki nad dzieckiem niepełnosprawnym i muszę zapłacić 500 złotych, żeby dziecko mogło przystąpić do komunii. Ileś tam na strój komunijny, ileś tam na prezent dla księdza, ileś tam na kwiaty. Marginalizacja zaczyna się już w zerówce, kiedy dziecko po raz pierwszy przychodzi do szkoły, nie uczestniczy w mikołajkach, bo nie ma 2 zł. Nie jeździ nigdy na wycieczki. Gdzie jest katechetka, czy katecheta? To są problemy, które nie przychodzą nam do głowy, a za które jesteśmy odpowiedzialni. Dlatego, że wykluczenie zaczyna się już w dzieciństwie.

Kościół, który ma być domem, domem przede wszystkim ubogich, tym domem, moim zdaniem nie jest, albo jest w zbyt małym stopniu. I za to odpowiedzialni jesteśmy wszyscy. Ojciec Święty pisze, że: „Miłosierdzie bierze początek z komunii wewnątrzkościelnej (może dlatego, że tej komunii wewnątrzkościelnej nam samym brakuje), ale ze swej natury zmierza do posługi powszechnej, skłaniającej nas do podejmowania dzieł czynnej i konkretnej miłości wobec każdego człowieka.” Czynnej i konkretnej miłości. To naprawdę nie jest rola wyspecjalizowanych instytucji w rodzaju Caritas, Towarzystwa brata Alberta, czy Wspólnoty Chleba Życia i in. To dotyczy każdego z nas. „Owoce kontemplacji musi zawsze być miłosierdzie w stosunku do ubogiego – mówi dalej Ojciec Święty. Jest to dziedzina, która w równie decydujący sposób określa kształt życia chrześcijańskiego, styl działalności kościelnej treść programów duszpasterskich”. Czy rzeczywiście określa to styl działalności? Kto prowadzi studentów do domów starców? Może niewielu. Kto prowadzi uczniów na katechizacji do domów starców, czy do pobliskiego sierocińca? Wypada sobie życzyć, aby chrześcijanie doświadczyli bardziej niż do tych czas, jak wielkiego poświęcenia wymaga miłosierdzie wobec najuboższych. Jeśli nasze działania mają rzeczywiście początek w kontemplacji Chrystusa, to powinniśmy umieć Go dostrzegać przede wszystkim w twarzach tych, z którymi On sam chciał się utożsamić.

Jest różnica pomiędzy czynieniem dobrego uczynku a wynikającym z kontemplacji spotkaniem Chrystusa w twarzy człowieka ubogiego. Tu jest ta różnica pomiędzy dobroczyn-

nością w dawnym pojęciu, a tym, do czego rzeczywiście wzywa nas Chrystus i stąd na pewno płyną dalsze konsekwencje w naszym postępowaniu i przeżywaniu naszego życia sakramentalnego i całego życia chrześcijańskiego. Czy w ogóle zastanawiamy się nad tymi sprzecznościami i czy rzeczywiście nas to interesuje? Jakie są skutki i konsekwencje ostatnich decyzji i ustaw rządowych? Przecież oszczędności w budżecie robione są na plecach biedaków. Tak było, jest i będzie. Jaka jest nasza chrześcijan i katolików w tym rola? Ten krajobraz ubóstwa można poszerzać bez końca, jeśli do starych jego form dodamy także nowe.

Trzeba, aby w obliczu tej sytuacji chrześcijanin uczył się wyrażać swą wiarę w Chrystusa, przez odczytywanie ukrytego wezwania, które On kieruje do niego ze świata ubóstwa. To wezwanie płynie ze świata ubóstwa. To ubodzy mają nam powiedzieć, gdzie tak naprawdę jest miłość i jak powinna ona wyglądać. W ten sposób można będzie kontynuować tradycję miłosierdzia, która w minionych dwóch tysiącleciach wyraziła się na wiele różnych sposobów, ale która obecnie wymaga może jeszcze więcej inwencji twórczej. Potrzebna jest dziś nowa wyobraźnia miłosierdzia, której przejawem będzie nie tyle skuteczność pomocy, co zdolność bycia bliźnim dla cierpiącego człowieka, solidaryzowania się z nim, tak aby gest pomocy nie był odczuwany jako ponizająca jałmużna, ale jako świadectwo braterskiej wspólnoty dóbr. Tej braterskiej wspólnoty dóbr i tej solidarności nam brakuje, bo brakuje nam w ogóle świadomości, że nie ma innej drogi do Chrystusa, jak poczucie się bratem tego, który jest zepchnięty na margines, bez względu na to, czy jest to z własnej, czy nie z własnej winy.

I na końcu tego życia, co stale sobie powtarzam, Pan Bóg nie zapyta mnie, jakiego koloru habit nosiłam, czy byłam mężatką, panną, czy byłam mądra czy głupia, czy byłam biskupem, czy byłam premierem. Zapyta mnie: Co zrobiłaś, kiedy przyszedł do ciebie chłopak i poprosił o chleb, a w domu w którym mieszka około dwadzieścia osób, było sześć bochenków chleba i powiedziałaś mu, że chleba nie ma. Ale na szczęście oprzytomniałaś, bo ci się zrobiło głupio, że siądziesz do kolacji, a w sąsiedniej chałupie troje dzieci nie będzie miało, co jeść, zawołałaś go i dałaś ten chleb. I pokazałem ci raz jeszcze, że jesteś tylko dzierżawcą i przekazicielem tego, co ja daję, bo za pół godziny wysłałem do ciebie piekarza, który przywiózł tyle chleba, że mogłabyś nakarmić całą wioskę.